

Jest tam kto?

Kilka refleksji o nauczaniu w czasach zarazy

Pozwolę sobie zaryzykować stwierdzenie, że jeszcze kilka lat temu tylko nieliczni nauczyciele akademicki mieli jakiegokolwiek doświadczenia związane z tzw. nauczaniem zdalnym. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza, jak mi się wydaje, przedstawicieli nauk humanistycznych. I oto nagle, w marcu 2020 roku, gdy epidemia Covid-19 dosięgła również naszego kraju, wszyscy stanęliśmy wobec konieczności prowadzenia dydaktyki za pomocą technologii informatycznych. Na początku, jak to zwykle bywa w trudnym położeniu, mieliśmy nadzieję, że to tylko „przejściowe trudności” i niebawem wszystko wróci do normy. Staraliśmy się wprawdzie skwapliwie utrzymywać kontakt mailowy z naszymi studentami i wysyłać im różnorakie pomoce naukowe, trwaliśmy jednak w przeświadczeniu, że wkrótce sytuacja się poprawi i szybko nadrobimy zaległości... Gdy jednak mijały kolejne dni i tygodnie, stawało się jasne, że stan epidemicznych obostrzeń może potrwać jeszcze długo i nie unikniemy informatycznej rewolucji w nauczaniu.

Należało zatem przystąpić do pokonywania ograniczeń i przełamywania barier. Te zaś miały różny charakter. W pierwszej kolejności wskazać można ograniczenia natury technicznej: brak w domu odpowiedniego sprzętu lub oprogramowania, brak dostępu do Internetu lub zbyt słabe łącza. Wspomniane niedostatki dotyczyły zresztą nie tylko naszych gospodarstw domowych, ale w pewnym zakresie także macierzystych instytucji, borykających się z chronicznym niedoinwestowaniem.

Niepomiernie większego wysiłku wymagało jednak pokonanie barier mentalnych, a zwłaszcza psychologicznych. Trzeba było bowiem nauczyć się w trybie dramatycznie przyspieszonej obsługi różnych aplikacji i narzędzi informatycznych. W sukurs przyszły na szczęście szkolenia (zdalne, a jakże!) organizowane na naszych uczelniach, niejednokrotnie można też było liczyć na nieocenioną pomoc młodszych wiekiem członków wspólnoty akademickiej, niemal od urodzenia biegłych w sztuce posługiwania się komputerem. Jednakże na tym kłopoty wcale się nie skończyły. Dla wielu z nas bolesne okazało się bowiem samo zderzenie z formułą zajęć zdalnych, której główny problem stanowi interakcja z odbiorcami, tj. ze studentami, a właściwie jej niemal zupełny brak. Szczególnie dotkliwie jest to w przypadku wykładu, będącego przecież esencją dydaktyki akademickiej. Jak wiemy, każdy wykładowca ma swoje zwyczaje, pewną „strefę komfortu” wykładania. Jeden siedzi, drugi stoi, jeszcze inny przechadza się po sali, pisze na tablicy lub rysuje. Tymczasem obecnie można tylko i wyłącznie siedzieć przed komputerem, nierzadko w pomieszczeniu, wokół którego toczy się w najlepsze życie rodzinno-gospodarcze, oglądać się w oku nie zawsze korzystnie ustawionej kamery i mówić w pustkę, w próżnię, w nicność. Nie widzimy bowiem zwykle twarzy tych, do których kierujemy wypowiedź, bo kiedy zechcą się oni pokazać, tj. włączyć swą kamerę, zazwyczaj automatycznie pogarsza się jakość połączenia. Nie rozpoznajemy zatem w oczach naszych studentów ani oznak zainteresowania, ani znużenia, nie wyczuwamy, kiedy powinniśmy coś wyrazić dobitniej, a kiedy opowiedzieć anegdotę. Innymi słowy: nie ma „chemii”, nie ma tej delikatnej nici porozumienia między wykładowcą a słuchaczem, która do pewnego stopnia przypomina tę, która powstaje w teatrze między aktorem a widzami. Co gorsza, zdarzają się chwile, kiedy przeczuwamy, że jesteśmy zupełnie sami, kiedy pojawia się deprymujące przeświadczenie, że nikt nas nie słucha...

Prowadzimy też zajęcia, podczas których wypowiedzi studentów są wymagane, jak np. ćwiczenia, konwersatoria czy seminaria. Przypominają one niekiedy seanse spirytystyczne. Pytamy: Pani Alicjo, jest Pani z nami? Z ciemności wyłania się po chwili Pani Alicja lub przynajmniej jakiś kształt, który zdaje się ją przypominać, i słyszymy znajomy głos. Ale czasami nie pojawia się nikt, a potem dostajemy wiadomość, że niestety połączenie zostało przerwane... Trzeba też stwierdzić, że niektórzy studenci zniknęli, mimo wysiłków straciliśmy z nimi kontakt, można jedynie przypuszczać, że przynajmniej w części padli ofiarą zjawiska określanego jako wykluczenie cyfrowe.

Nie dziwi zatem fakt, że coraz częściej obserwuje się zjawy „zmęczenia materiału” po obydwu stronach ekranu, czy też na obydwu końcach internetowego łącza. Zarówno nauczyciele, jak i studenci muszą wkładać w pracę znacznie więcej wysiłku niż przed pandemią, coraz trudniej jest się mobilizować i motywować, bo przecież stan ten trwa już prawie trzy semestry. Trudne do oceny są też niekiedy rezultaty naszej pracy, bowiem w trakcie egzaminu przeprowadzanego zdalnie w sercu egzaminowanego niejednokrotnie pojawić może się pokusa, by pomóc sobie przy zastosowaniu najnowszych technologii...

Nauczanie zdalne wymaga w pewnym zakresie zmiany podejścia do formy zajęć, niekiedy wymusza porzucenie dotychczasowych nawyków, uświadamia potrzebę aktywizowania studentów na różne sposoby, można więc powiedzieć, że z tego względu stanowi niełatwe, lecz pożyteczne doświadczenie. W przypadku nauk humanistycznych, takich jak np. archeologia czy historia sztuki, zajęcia dydaktyczne często uwzględniają jednak zmysłowy kontakt z konkretnym zabytkiem, z narzędziem kamiennym, z fragmentem glinianego naczynia, z rzeźbą lub obrazem – z „żywym” źródłem. W warunkach pracy zdalnej uzyskanie podobnego procesu doświadczania owego źródła jest prawie niemożliwe lub całkowicie niemożliwe. Nie da się zastąpić choćby najbardziej efektywną prezentacją multimedialną kilkutygodniowego udziału w badaniach wykopaliskowych lub pobytu w magazynach muzealnych. Wiele osób podejmowało mimo to wysiłki, by przybliżyć studentom różne zjawiska, np. sięgając do zasobów tzw. humanistyki cyfrowej, korzystając z rekonstrukcji 3D różnych zabytków czy też wirtualnych wycieczek po galeriach sztuki. Podobne dylematy są oczywiście także udziałem przedstawicieli innych nauk, jak np. chemii, biologii etc. Mimo wszystkich opisanych wyżej trudności, do których trzeba jeszcze dodać ograniczenia w funkcjonowaniu bibliotek, w minionym roku akademickim obroniono jednak całkiem sporo prac dyplomowych: licencjackich i magisterskich.

Reasumując, można zatem powiedzieć, że w wielu wypadkach, działając w stanie wyższej konieczności, w relatywnie bardzo krótkim czasie udało się stworzyć przyzwoitą, a niekiedy nawet dobrą alternatywę dla normalnego, tj. stacjonarnego procesu dydaktycznego. Ze zdobytych w ten sposób doświadczeń będziemy przypuszczalnie korzystać także w postpandemicznej przyszłości. Niektóre instytucje czy wydziały już myślą o stworzeniu specjalnych sal przeznaczonych do prowadzenia zajęć w systemie zdalnym lub hybrydowym. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że zajęcia te będą stanowić jedynie uzupełnienie oferty dydaktycznej, a my spotkamy się już wkrótce ze studentami „na żywo” w salach wykładowych i laboratoriach.